

KOLARZ

Dwie nogi napędzają dwa koła. Ale jakie to nogi! Z łatwością tną powietrze, mimo że wyglądają na zatrważająco masywne. Spiczaste kolana uderzają jako pierwsze, wybijając się w górę. Zaraz za nimi nadciąga udo, doprowadzające szwy w spodenkach do łez i głośnych trzasków. Gdy ten duet się przewali, do akcji wkracza łydka. Spina się z całych sił, by wypaść jak najlepiej i dać pokaźnej karbonowej korbie do wiwatu.

Jego sylwetka jest mocno wygięta w kształt nieosiągalny dla zwykłego śmiertelnika. Może wydawać się to niemożliwe, ale głowa znajduje się niżej od pośladków. Od palców zaciśniętych na wąziutkim baranku pobiełały knykcie. Chwył tak silny, jak gdyby od niego zależało życie mężczyzny. Niewiele brakuje, a wczepi się w kierownicę zębami. Domknąłby w ten sposób obwód, stając się w pełni zsynchronizowanym ze swoim czerwono-czarnym rowerem.

Mijające go samochody z trudem zagłuszają stęki kolarza. Każdy pełny obrót łańcucha kosztuje go sporo wysiłku. To już końcówka trasy blisko 50-kilometrowej trasy, a sunący po szosie kolarz nie zwalnia tempa.

Daje z siebie wszystko, bo walczy o wykręcenie jak najlepszego czasu. Zamocowany na kierownicy licznik bezlitośnie obcina kolejne sekundy, dzielące sportowca od ustanowienia rekordu trasy. Złośliwość tego malutkiego elektronicznego urządzonek wywołuje zaskakująco wielką złość u chudziutkiego mężczyzny. Niewiele brakuje, by jego potrząsająca się bezwładnie przy każdym ruchu głowa uderzyła w licznik, rozbijając go w drobny mak i ukrócając samowolę elektronicznego sprzętu.

W umyśle kolarza myśli materializują się w równie morderczym tempie jak to, w którym pędzi rower. „Zdążę, zdążę!”, „Jednak nie zdążę!”, „Muszę wziąć się w garść!”, „Jeszcze tylko cztery, trzy, dwa zakręty!”, „Teraz długa prosta z górki!”, „Dajesz!”, „Dajesz-dajesz!”, „DAAAAJESZ!”, „Dajesz, do cholery, dajesz!” Kręcą się one w jego

głowie zupełnie niczym najlepiej naoliwiony łańcuch, napędzając przy tym do działania całą resztę organizmu tak, jak łańcuch nakręca koła.

Wygląda na to, że kolarz jednak osiągnie swój cel. Pozostałe do pokonania kilometry znikają szybciej niż na liczniku pojawiają się przeklęte sekundy. Ta myśl dodaje mężczyźnie dodatkowego zastrzyku adrenaliny. Bezcennego w tej sytuacji surowca. Nogi nabierają drugiej świeżości.

Kolarz widzi przed sobą światełko w tunelu.

Będzie dobrze, myśli.

Wtem – światełko w tunelu staje się czerwone. Wściekle czerwone. Czerwień rozlewa się też w głowie kolarza, zalewając jego oczy i utrudniając widzenie. Mężczyzna z całych sił wali pięścią w kierownicę, a bawiące się w mijanym przez niego właśnie ogródku dzieci oraz ich rodzice powinni być wdzięczni, że duży ruch samochodów zagłuszył wulgaryzmy wyrzucane z jego płuc.

Światełko w tunelu okazuje się być czerwonym światłem na skrzyżowaniu. Trzeba zwolnić, trzeba się zatrzymać. Z rekordu nici.

Dziesięć palców uderza w klawiaturę. Czasem jeden z nich stuknie w myszkę, rzadziej podrapie głowę. Sylwetka mężczyzny siedzącego przy kwadratowym biurku w przestronnym open office jest nienaganna. Wyprostowane plecy, łokcie ułożone na blacie pod kątem bliskim 90 stopni. Obie stopy oparte stabilnie o podłogę. Wzrok utkwiony w prostokątnym monitorze.

Nikt by nie przypuszczał, że rozczarowany swoimi wynikami kolarz oraz świecący przykładem pracownik wielkomięskiej korporacji to ta sama postać. To Antoni. Ten trzydziestosiedmioletni mężczyzna z powodzeniem łączy sukcesy zawodowe ze sportową pasją, jaką jest kolarstwo szosowe.

- Obie te sfery bardzo mocno łączą się ze sobą. Nie da się traktować ich oddzielnie. To, że radzę sobie w jednej z nich daje mi energię do działania w drugiej. Czy któraś z nich jest ważniejsza? Chyba nie. Gdybym nie miał tej pracy, gdybym nie miał takich satysfakcjonujących zarobków, nie mógłbym sobie pozwolić na uprawianie kolarstwa.

A gdybym nie jeździł, to nie miałbym motywacji do pracy. Bo nie miałbym na co wydawać zarabianych pieniędzy.

Oglądając sprzęt, na którym jeździ Antoni, można zakładać, że musi pracować bardzo dużo, a jego pracodawcy muszą być z niego przeciętnie zadowoleni. Rower do treningu stacjonarnego w domu (- Gdy pada, nie muszę rezygnować z ćwiczeń i nie zawalam swojego programu – wyjaśnia), rower do treningu w terenie (- Szkoda niszczyć profesjonalny sprzęt na codzienną jazdę, zwłaszcza po polskich dziurawych drogach) oraz rower do startów w wyścigach (- Wypieszczony i zadbany tak, aby dawał jak największe szanse na dobrą lokatę).

Ale na rowerach się nie kończy. Antoni ma osobną szafę na kolarskie stroje na każdą porę roku i pogodę. I na każdą część ciała. Literalnie: od stóp do głów. Udowadnia to sam Antoni, który po krótkim pobycie w łazience, wychodzi z niej odziany w szosowy komplet. Korporacyjny ciemnogrnatowy garnitur trafił już na wieszak i przykryty został folią ochronną.

- Zacznijmy może od stóp – mówi Antoni, zginając się w pół i palcami wskazując na białe, zapinane na rzepy buty. – Ciężko się w nich może chodzi, bo podbite są karbonowymi platformami. Łatwo też porysować w nich panele czy parkiet, a na schodach nietrudno się poślizgnąć. Ale do jazdy są wspaniałe, tylko trzeba uważać, aby przed upadkiem szybko się z nich wyjąć. W innym wypadku kontuzja nieunikniona – podsumowuje i stuka piętami butów. Z butów wystają śnieżnobiałe skarpety w niebieskie grochy. Z daleka wygląda to tak, jak gdyby łydkę mężczyzny obsiadła jakaś groźna wysypka. Wciąż półzgięty Antoni przesuwając palcem wskazującym po lewej skarpecie.

- To dość niezwykła skarpetka – rozpoczyna, od razu wzbudzając ciekawość wśród ludzi mających codziennie do czynienia z zupełnie przeciętnymi skarpetkami. Niczym niewyróżniającymi się spośród kilkunastu innych par chowających się w szufladzie. – To skarpetka, która wypala łydkę. Dlatego jest taka długa, sięga prawie aż do kolan. Gdy w niej jeździsz, dostarczasz organizmowi dodatkowego ciepła, przez co szybciej

spalasz tłuszcz. Kilka mocnych treningów i ściągasz skarpetkę, a tam już wyraźnie zarysowane mięśnie.

Po czym Antoni zsuwa biały materiał, odsłaniając napiętą łydkę. Wyraźnie widać, że jest ona dla niego powodem do dumy. Odwraca nogę, stając dodatkowo na palcach, by jeszcze uwypuklić efekt. Gdy uzna, że pokaz nieco się przeciąga, szybko przechodzi do kolejnego elementu swojej garderoby, czyli czarnych spodenek z czerwonymi lampasami.

- Łatwe w praniu i bardzo wygodne w użytkowaniu, bo z wszytą pieluchą – model nie powstrzymuje się od pokazania, gdzie to udogodnienie jest wszyte. – To ważne, a nie wszyscy o tym wiedza, ale mając takie spodenki absolutnie nie wolno wkładać bielizny. Można wtedy wypalić sobie coś niezbędnego – przestrzega zupełnie na poważnie Antoni. – Dlatego takich par spodni to warto mieć więcej niż jedną czy dwie – rekomenduje, drapiąc się subtelnie po pachwinie.

Następna w kolejce jest koszulka, później rękawiczki, okulary i kask, zastępowany czasem kolarską czapczką. Na końcu Antoni obraca się raz jeszcze wokół własnej osi, prezentując całą noszoną przez siebie kolekcję. Robi to ostrożnie, zapewne nie chcąc wyrzucić się lub porysować parkietu.

Dzięki Antoniemu można dowiedzieć się, że uprawianie kolarstwa ma zaskakująco wiele wspólnego z ogniem. Począwszy od wypalania tłuszczu z mięśni i spalania kalorii, przez zagrzewanie się do szybszej jazdy okrzykami „Ogień!”, a skończywszy na paleniu bolących mięśni ud po intensywnej przejażdżce. Sam Antoni zdradza też, że przed treningiem czy wyścigiem warto wprawić swój organizm w stan wrzenia. – Im goręcej wewnątrz, tym szybsza przemiana materii. Szybciej pozbywam się tego, co niechciane. Służą do tego specjalne medykamenty. Nigdy o nich nie zapominam, bo wiadomo, jak kluczowa w osiąganiu sukcesów jest waga – przytomnie zauważa Antoni, wyciągając z kuchennej szafki walcowaty pojemnik z grzechoczącymi pastylkami. Wybiera dwie i popija wodą

z kranu. Na tym jednak suplementacja się nie kończy.

- Trzeba być szczerym i uczciwie powiedzieć, że nie walczę w Tour de France czy chociażby Małopolskim Wyścigu Górskim. Nie jeżdżę w zawodowym teamie, ale czy przez to moje ambicje mają być mniejsze? Też chcę osiągać coraz więcej, czerpać satysfakcję z tego, co robię, czuć moc. Walczyć jak równy z równym z rywalami. I wygrywać, a nie tylko oglądać ich plecy – tłumaczy Antoni, stawiając na blacie w kuchni kolejne pudełka z pigułkami. – Dlatego pewne formy dopingu są nie tylko dopuszczalne, ale i wskazane, jeśli na poważnie myśli się o zwycięstwach. A ja myślę – kończy mężczyzna, łykając następnie pięć różnych tabletek.

Jego zachowanie można usprawiedliwić nie tylko sportowymi ambicjami. W sytuacji, gdy pozostali kolarze-amatorzy uciekają się do takich metod, naiwnością byłoby wierzyć, że można nawiązać z nimi równorzędną walkę bez sięgnięcia po dodatkowe wzmacniacze. Nawet takie, które w normalnych okolicznościach budziłyby przynajmniej moralne wątpliwości.

Pastylki zaczynają działać już kilka minut po tym, gdy trafią do organizmu Antoniego. By nie stracić ani chwili z ich pozytywnego wpływu, mężczyzna chwytając treningowy rower

i wybiega – na tyle szybko, na ile to możliwe, by się nie poślizgnąć na parkiecie lub by go nie porysować – by na przydomowej szosie rozpocząć śródowną jazdę.

Nim jednak wprawi korbę w ruch, wykonuje szereg czynności, mających zagrozić go do wysiłku. Uderza się kilkakrotnie w kask, energicznie łapie kierownicę, unosi ją i opuszcza, unosi i opuszcza, klepie się po udach, mruczy coś do siebie pod nosem, po czym dopiero wpina błyszczące białe buty w pedały. Po głośnym, metalicznym trzasku rusza z impetem przed siebie. Ledwie co udaje mu się wyhamować przed znajdującym się jakieś 150 metrów dalej szlabanem.

Trudno wskazać, czy to za sprawą tabletek, czy czekających go na trasie emocji, czy też po prostu z powodu swojej miłości do kolarstwa, ale Antoni się trzęsie. Drgają jego palce na kierownicy. Nerwowo i bardzo szybko mrugają powieki.

Niekontrolowane skurcze dopadają jego przedramiona. Podobnie dzieje się z udami. A on sam to wstaje, to znów siada na siodelku. Jest również wyraźnie pobudzony, co widać po pierwszych społecznych interakcjach, w które wchodzi. Najpierw pokrzykuje na kobietę z wózkiem, która w jego opinii zajmuje za dużo miejsca na poboczu. Później obrzuca obelgami kierowcę rzekomo za to, że nie zachował bezpiecznej odległości. A pierwszy kwadrans treningu kończy niekulturalnym fuknięciem na stojących na przystanku autobusowym ludzi. – Mogliby się wziąć za siebie i gdzieś pojechać na rowerze, a nie tylko wszędzie wozić się samochodami lub komunikacją miejską.

Ale nawet gdyby wskoczyli na siodelko, nie mogliby liczyć na przychylność ze strony Antoniego. Jak przystało na ambitnego, zorientowanego na triumfy sportowca, automatycznie rozpoznaje on w innych rowerzystach swoich konkurentów. I nie ma dla nich litości. Wyprzedza ich na pełnej prędkości, mijając zaskoczonych właścicieli rowerów miejskich, wielopokoleniowych składaków lub ociężałych rowerów górskich zaledwie o kilka centymetrów.

- Ja się spieszę, oni nie. Niech się więc posuną i nie tarasują drogi – mruczy pod nosem. Mija ich z nieskrywaną pogardą. – Gdybym mógł, to bym tylko tak pyk, pyk, pyk po głowie pykał tych gamoni – rzuca jeszcze przez ramię, nim na dobre zniknie z pola widzenia, lawirując gdzieś między samochodami, pieszymi korzystającymi z pasów oraz złowrogimi krawężnikami. Ostatni raz miga gdzieś przed skrzyżowaniem.

Spotykani na tym etapie kolarze to ledwie przygrywka do tego, co czeka wystrojonego

w skarpety wytapiające łydy i pozbawionego bielizny, a przez to przewiewnego mężczyznę. Dopiero za miastem, gdzie teren się wyraźnie spiętrza, można natknąć się na bardziej wymagających przeciwników.

Antoni, jak przystało półprofesjonalistę, ma swoich przeciwników dobrze rozpracowanych. Widywał się z nimi wielokrotnie. Nawet najbardziej kreatywny kolarski umysł nie byłby w stanie wymyślić w nieskończoność nowych tras,

korzystając wciąż z tych samych tras. Ich ograniczoność determinowała możliwości treningowe. Tym, którzy wyróżniali się pomysłowością (lub tym, którzy zaryzykowali łyknięcie podwójnej dawki tabletek), udawało się podstawową liczbę wariantów zwiększyć trzykrotnie. Przy niezmiennej liczbie kilometrów szosy, zakrętów, zjazdów i podjazdów czysta statystyka udowadnia, że powtarzające się spotkania są nieuniknione.

- Krążymy wokół siebie jak w labiryncie – odzywa się nieobecny przez dobry kwadrans Antoni. – Gdyby tak w godzinach treningowego szczytu spojrzeć na okoliczne trasy z góry, widać byłoby przemieszczające się różnokolorowe kropki. To my w kaskach. Całość wyglądałaby jak taka gra Pac-Man, gdzie sterowało się żółtą paszczą zjadającą kropki

i swoich przeciwników – objaśnia kolarz, zerkając z ukosa, czy to, co mówi jest zrozumiałe. Gdy upewnia się, że tak, jego wyraz twarzy momentalnie zmienia się. Na czole robi mu się wielka pozioma bruzda, oczy zwężają się do rozmiarów dziurki na guziki. I krzyczy – To ja jestem Pac-Manem!

Po czym zaczyna zapiękle pedałowac, chcąc odjechać z odpowiednią dramaturgią. Sytuację utrudnia nieznaczna stromizna, ciągnąca się przez ładne kilkaset, może nieco ponad tysiąc metrów. To z jej powodu Antoni tym razem nie znika z pola widzenia tak szybko.

Kilkadziesiąt ruchów korbą dalej i na horyzoncie majaczy pierwsza kolarska sylwetka. Wystarczy kilka spojrzeń, by Antoni rozpoznał rywala. – To Bartek, na co dzień przedstawiciel handlowy akcesoriów biurowych i akcydensów. Jeździ białą Pandą i wszędzie wciska swoje segregatory czy spinacze. Ale ma dobrze, firma go sponsoruje. Zaraz mu pokażę, gdzie jego miejsce, bo chyba się zapomniał.

Ostatnie słowa Antoniego wypowiedane są już zdecydowanie głośniej, a i oddech jakby płytszy. Stara się jak najszybciej dojechać do znajdującego się przed nim mężczyzny. Nie jest to jednak przysłowiowe hop-siup i mimo najszczerszych starań, dystans między nim Antonim a Bartkiem „Spinaczem” zmniejsza się nieznacznie.

Antoni nie daje nic po sobie poznać. Wzrok ma utkwiony w kołyszącymi się w powietrzu pośladkami konkurenta, który też napotyka na drobne trudności przy podejździe. Nie wiadomo, czy zdaje on sobie sprawę z czającego się w tyle zagrożenia. Ta niepewność tylko dodaje smaczku całej, i tak już emocjonującej sytuacji.

Oto drapieźnik wyrusza na łowy. Bezgłośnie, jeśli nie licząc lekkiego posapywania czy okazjonalnego zgrzytnięcia przerzutką, zbliża się do ofiary. Zbliża się w niespiesznym tempie, zapewne nie chcąc spłoszyć celu. Napięcie dodatkowo rośnie wraz z każdym upływającym metrem. Oto bowiem na horyzoncie pojawia się już wierzchołek. Gdy goniony kolarz dotrze do niego przed ścigającym, szansę na ujście z życiem gwałtownie rosną.

Świadcami tego cichego, niepozornego, lecz dramatycznego zdarzenia są rosnące przy gminnej drodze topole, podlewający ogródek mężczyzna w wieku 40-50 lat i kilka psów, pałętających się po podwórkach w miarę możliwości zapewnianych im przez ciężkawe łańcuchy.

Jadą.

Jeszcze niedawno, bo raptem 2 godziny temu, każdy z nich przebywał w zupełnie innym świecie. Antoni tkwił niemalże nieruchomo przed komputerem, komunikując się ze światem swoimi dziesięcioma palcami u dłoni, wysyłając w przestrzeń komunikaty o kolejnych celach realizowanych przez jego korporacyjny zespół. Jedyne dosięgający go pęd powietrza pochodził z wentylatora zamontowanego w komputerze oraz bezszelestnej klimatyzacji. Jedyne ogarniające go emocje to te dotyczące wątpliwości, czy osiągnięte normy oraz czas na nie potrzebny zostaną zaakceptowane przez przełożonych.

Spinacz siedział pochylony nad arkuszem kalkulacyjnym, wpisując weń ilości sprzedanych ryz papieru, zestawów różnokolorowych karteczek samoprzylepnych, zszywaczy i tonerów do drukarek. Obracający się w rogu pokoju wiatrak zapewniał stały dopływ świeżego powietrza.

A teraz – obaj jadą.

Wtem Antoni zmienia zdanie odnośnie swoich zamiarów. Rezygnuje z pościgu, gwałtownie skręcając w prawo, w pierwszą lepszą uliczkę ciągnącą się między domostwami. – Dogoniłbym go, ale i tak miałem tutaj jechać. Taka dzisiaj trasa. Niech sobie jedzie, ma szczęście.

Reżim kolarza-amatora nie wydaje się szczególnie ustępować kieratowi narzucanemu zawodowym sportowcom. Obowiązkowy trening – prawie że codziennie. – W jeździe przeszkodzić mi może tylko pogoda – deklaruje Antoni, stojąc w przedpokoju ubrany w powłóczystą, żółtą pelerynę skrywającą całe jego ciało i na butach mając gumowe wodoszczelne ochraniacze. – Musiałby wiać jakiś huragan, aby powstrzymać mnie od jazdy – dochodzi nieco przytłumiony głos spod jaskrawego materiału.

Także pora roku nie ma specjalnego znaczenia. – Późną jesienią i zimą korzystam z trenera w salonie. Albo jadę na dziesięciodniowe zgrupowanie do Hiszpanii lub na Cypr, tam do sezonu przygotowuje mnie personalny trener – zdradza mężczyzna, a na potwierdzenie wypowiedzianych właśnie słów prezentuje na swoim zgrabnym smartfonie soczyste zdjęcia z jakiejś nadmorskiej miejscowości, przeżywającej teraz kolarskie oblężenie. Chowa go następnie do ukrytej wewnątrz peleryny kieszeni, po czym zasuwą błyskawiczny zamek.

Uzupełnieniem surowego i regularnego treningu musi być konsekwentnie przestrzegana dieta. – Żadnych słodyczy, żadnych gazowanych napojów, ograniczona liczba węglowodanów, żele i suplementacja – wylicza Antoni. – Choćby nie wiem, jak mnie skręcało, nie mogę sięgnąć po najmniejszego nawet cukierka. Zwłaszcza takiego czekoladowego, ale takiego delikatnie czekoladowego, z orzechowym, przyjemnie chrupiącym nadzieniem. Nie wolno. Ani żadnych domowych ciast, ręcznie wyrabianych, jeszcze ciepłych, kruchych, z kremem lub bez kremu. Po prostu nie wolno. Podobnie jak słodkich batonów czy ciasteczek takich, co to najlepiej je się z mlekiem.

W zamian na stole Antoniego dzień w dzień lądują albo kasza, albo ryż. Albo kasza i ryż, gdy po przejechaniu wielokilometrowego treningu konieczne jest nadrobienie

strat węglowodanów. Wysokie kopy liści sałaty. Zupy. I dużo, dużo szklanek wody.

Trzecim obszarem łączącym amatorów i zawodowców jest fanatyczne wręcz oddanie temu sportowi. Uznawanemu, co warto zaznaczyć, za jeden z dwóch najbardziej wymagających na całym świecie. Drugim równie trudnym jest ponoć tylko boks. Obie grupy kolarzy wiele czasu poświęcają na samodoskonalenie się w tej dziedzinie. Różnica między nimi jest tylko taka, że kolarze z zawodowych teamów trenują i startują w czasie na to przeznaczonym, po czym odpoczywają. A amatorzy pokroju Antoniego, Spinacza, Wodniaka (pracownik rozlewni wód mineralnych), Geeka'a (programista IT w dużej korporacji) i Marka (drobnego przedsiębiorcę) ruszają na trening zaraz po zakończeniu swoich zawodowych zajęć. Oznacza to, że w okolicach 16.30 okoliczne szosy w obrębie do 25 kilometrów od centrum wypełniają się nabuzowanymi ambicjami, energią i pigułkami mężczyznami. Ich ciśnienie jest dodatkowo wyższe przez trykoty ciasno opinające ich ciała.

Początkowo osiągane przez nich prędkości rzeczywiście robią wrażenie. Jednak w miarę

z upływem czasu, kolejnymi kilometrami i wyłaniającymi się wzniesieniami, te średnie stają się coraz bardziej średnie, średniejsze i już bardzo średnie. Z podobną intensywnością zanika zapał do dalszej jazdy, co w sytuacji znajdowania się daleko od domu może skutkować poważnymi kłopotami z powrotem do siebie.

W domu ma się raptem kilka godzin na regenerację, która upływa głównie na pospiesznym jedzeniu i piciu. Posilanie się ma też ten plus, że nie obciąża nóg. – Im bardziej oszczędzasz ud, tym lepiej dla ciebie. Najlepiej siedzieć i się nie ruszać – mówi Antoni, siedząc z miską ryżu w wannie, przekrzykując lejącą się doń wodę.

Rewitalizacja zmęczonego organizmu może potrwać kilka-kilkanaście godzin. Oznacza to, że Antoniemu, jak i reszcie kolarzy-amatorów zdarza się przyjść do pracy nieco zmęczonym. Trzeba wtedy mocno się starać, aby kiwającą się głową nie zwrócić uwagi przełożonego. Albo zwrócić szczególną uwagę na sens pisanych maili – zmęczenie obniża bowiem poziom koncentracji i ogólnej czujności, w tym także na

literówki, powtórzenia czy składnię tworzonych zdań. Jak ognia należy w tym czasie unikać zebrań dłuższych niż 35-40 minut. – Najgorsze są środowowe popołudnia i całe czwartki, gdy tygodniowa kumulacja treningów już mocno daje się we znaki – walczy z momentalnie pojawiającym się ziewnięciem Antoni, siedząc sztywno przy swoim schludnie uporządkowanym biurku.

Kolarstwo to sport szalenie nieprzewidywalny. Każda przejażdżka jest niepowtarzalna. Ma na to wpływ wiele czynników, nad którymi sportowiec nie ma najmniejszej kontroli. Szalone podmuchy wiatru potrafią zakpić z najszybszego sprintera lub dodać skrzydeł wyjątkowej marudzie. Upalne popołudnie może gwałtownie przerodzić się w upiorną ulewę z piorunami. Równie łatwo z łowcy stać się ofiarą, zostając dościgniętym przez innego kolarza.

– To największy dyshonor. Takie coś sprawia, że przechodzi ci cała ochota do jazdy. Masz ochotę zsiąść z siodła, cisnąć rowerem do rowu i zabrać się do domu pierwszym lepszym busem – deklaruje gorzko Antoni.

Czy i on doświadczył takiego sportowego upokorzenia? Odpowiedzią jest cisza. I wzrok wbity w szarą szosę, upstrzoną na tym odcinku licznymi łatanami.

Nie dziwi więc, że Antoni w kilku miejscach podczas każdego treningu odruchowo rzuca nerwowe spojrzenia przez ramię. Robi tak zazwyczaj na początku lub w połowie wzniesień. Mruży wówczas oczy i sprawdza, czy gdzieś tam w dole nie widać męskiej sylwetki, wychylonej przez kierownicę oraz gotowej wypluć z siebie płuća, byleby tylko upokorzyć konkurenta. Każdy podejrzany ruch wywołuje niemałą nerwowość.

- Sztywniej nogi, pocisz się jeszcze bardziej, zgrzytasz zębami. Bo wiesz, nieraz już naprawdę brakuje sił, a tu wyłania się za zakrętu jakiś kozak, który chce ci coś udowodnić. A ty chcesz coś udowodnić jemu. I jedziecie na tak zwanego trupa. Ty jego czy on ciebie? Stres jest. Ogień w nogach niekoniecznie – rzuca Antoni znad kierownicy, mozolnie wspinając się na półtorakilometrową serpentynę i będąc wyprzedzanym przez sznur samochodów.

Kolarstwo to indywidualny sport. Wystarczy spojrzeć na oprawione w ramki i zawieszane na ścianach przedpokoju i salonu w mieszkaniu Antoniego zdjęcia wybitnych sportowców, wygrywających najważniejsze wyścigi. Za każdym razem triumfator może być tylko jeden. Ten najszybszy, najwytrzymalszy, najśmielszy. Samotnie na siodółku, bez możliwości rozmowy ze znajomymi spędza się w ciągu roku setki godzin. Nie ma z kim porozmawiać, komu się pożalić. Inni kolarze jawią się raczej jako konkurenci, rywale, przeciwnicy. Z nimi trzeba walczyć. Wyprzedzać. Pokonywać. Wrogami są także złośliwi, bo zajeżdżający drogę kierowcy oraz nieuważni piesi, pchający się pod wążutkie koła szosówek niczym bezmyślne barany. Taka perspektywa pogłębia niechęć do ludzi. Przenosi się z kolarskich tras do wnętrza biurów, zakładów produkcyjnych, sklepów, call-center, na stanowiska kasjerskie w centrach handlowych i do kanałów w warsztatach samochodowych. Trudniej przez nią nawiązać relację. Nawet rozpoczęcie zwykłej, niezobowiązującej rozmowy wydaje się wykraczać poza możliwości kolarza-amatora.

Przeszkodami do finałowego zwycięstwa są również wewnętrzne słabości, które muszą być bezwzględnie eliminowane. To też wymaga zagłębienia się w siebie, głębokiej introspekcji, o którą najłatwiej w odosobnieniu. Z dala od ciekawskich spojrzeń i natrętnych pytań. Nawiązywanie bliższych relacji utrudnione jest także koniecznością regularnej regeneracji, która dosłownie ogranicza Antoniego, jak i setki podobnych do niego mężczyzn.

Taki tryb życia musi pozostawić swoje piętno na psychice.

Z tego powodu w każde sobotnie popołudnie Antoni kieruje swoje kroki na jedno z osiedli. Blisko dziewięciokilometrową odległość pokonuje zwyczajowo samochodem, by choć w jeden dzień dać chwilę luzu nogom. Zmierza do niczym niewyróżniającego się bloku, wstukuje kod w domofonie, po czym otwiera drzwi na parterze. Zdarza się, że wchodzi tam w towarzystwie jednego czy dwóch mężczyzn. Również szczupłych, również z twarzą ogorzałą od słońca i starannie ogolonymi łydkami.

Wszyscy oni spotykają się w KSK – Klubie Samotnego Kolarza. Przed nimi półtorej godziny rozmów nieprzerywanych wyprzedzaniem. Spokojnych dialogów, bez sapania i dyszenia. Spotkań w komfortowych warunkach, bez konieczności ciągłego ocierania potu ciekącego po twarzy. To zdarzający się dwa razy w tygodniu moment, gdy mogą z kimś побыć. Nim ponownie powrócą do swoich męczących obowiązków zawodowych, samotnych treningów i pustych mieszkań, do których zaprosić kogokolwiek nigdy nie mieli czasu. Ani siły.

- No to wchodzę – rzuca Antoni na odchodne, chwilę po tym zamykając za sobą drzwi.